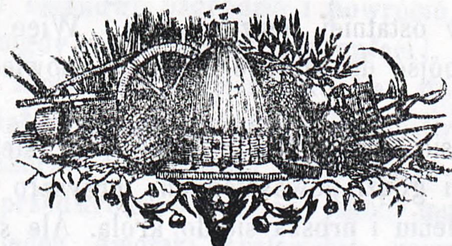
Tom III. Nr. 10.

1. Października 1860.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

JADWIGA I JAGIEŁŁO.

II. Jak żyli w małżeństwie.

Trudna to sprawa być królem! Jak się ubogi człek ożeni, to już może sobie spokojnie przy żonie siedzieć, Pana Boga chwalić, i nikt mu nie śmie za to marnego słowa powiedzieć. Ale z królem to inaczej! Musi wszędzie zaglądnąć, dopilnować i porządek zrobić, a nikt się tam nie pyta, czy on potrzebuje wczasu czy nie.

Owóż i nasz Jagiełło nie mógł sobie w miejscu siedzieć i rozkoszować, bo go wieści zaszły, że w Wielkiejpolsce srogie rozruchy i rozboje. Duchem się więc zebrał, wziął też i Jadwigę ze sobą, i pojechał do Wielkiejpolski robić ład między swymi.

Najgorzej to jest, kiedy się ludzie w własnym domu kłócą; więcej sobie czasem szkodzą, niż żeby ich jaki nieprzyjaciel napadł. Więc i tu rozbijali się wzajemnie, i nie mógł król przyjść

z nimi do końca. Jakoż trafiło się w tem zamięszaniu, że rycerze królewscy zabrali ludziom w kilku wioskach chudobę, sprzęty, zgoła cały dobytek. Ciężko to było onym biednym kmieciom, bo się prawie w ostatniej nędzy zostali. Więc zaczęli radzić i uradzili, żeby pójść do samego króla i opowiedzieć mu swoją niedolę.

Jakoż tak się stało. Kiedy sobie król siedzi na zamku i radzi z panami i godzi poważnionych; przyszło kilku chłopków w nędznem odzieniu i proszą się do króla. Ale służba uzbrojona stanęła przed drzwiami, i nie chce ich puszczać do środka.

A ludzie płaczą i proszą:

— Już pięć dni na darmo czekamy. Jakeście łaskawi, puśćcie nas do króla! Tam w chałupach nasze żony i dzieci nie mają co włożyć do gęby. Może już umierają z głodu! —

Ale służba nie chce tego słyszeć, jeno ich odpycha. Aż tu pokazuje się naraz we drzwiach królowa Jadwiga. Od razu zajrzała ona ubogich ludzi i płaczących, więc kazała się rozstąpić wartownikom, a sama pyta ich słodkim głosem:

— Cóż wam tak smutno moi ludzie?

— Ach, miłościwa królowo! — zawoła jeden — wojownicy króla zabrali nam dobytki i spalili domy.

— Nasze żony i dzieci umierają z głodu! — jął narzekać inny.

— Chodźcież moi mili — rzekła Jadwiga, i szła sama prosto do króla. Tu dopiero opowiedziała mężowi rzewnemi słowami całą krzywdę ludzi, jaka im została wyrządzona przez jego wojowników.

Poruszył się król na to opowiadanie Jadwigi, i kazał zaraz przynieść swoją szkatułę z pieniądzmi. Więc po królewsku obdarzył ludzi za ich szkody, a potem obrócił się do Jadwigi i rzecze:

— Stało się jak chciałaś. Za pieniądze, jakie im dałem, będą mogli domy postawić, sprzętów i bydła nakupić...

— Prawda — rzeknie na to litośna Jadwiga — wynagrodziłeś ich szkody, lecz *kto im łzy wylane powróci?*

Patrzajcież, moiściewy, jaka to anielska dobroć była w tej naszej królowej. Nie dosyć, że ludziom biednym dopomogła

i zapłaciła wszystkie krzywdy, ale się troskała jeszcze o ich łzy, które płacząc wylali. Oj wiedziała ona dobrze, że wszystko można biednemu człekowi nagrodzić i powrócić, ale łez i płaczu to mu już nigdy nie wróci ani nie opłaci!

Aleć takich litościwych ludzi rzadko Pan Bóg długo trzyma na tej ziemi. Miała Jadwiga za swego panieństwa dużo utrapienia, więc jej to zabrało siła zdrowia, a nie dosyć na tem, jeszcze ją teraz dworacy przed królem obmawiali, jakoby mu wierną nie była.

Osobliwie jeden dworski królewski, imieniem Gniewosz, oczernił królowę przed mężem, tak, że aż król gniewem rozgorzał ku Jadwidze. Martwiła się królowa, płakała, ale jakże miała swoją niewinność pokazać.

Skoro się tylko panowie o tem dowiedzieli, co byli przy królu, tak się ich zaraz dwunastu zebrało, przywdziali zbroje, wzięli szable, i mówią do Gniewosza:

— Ty oczerniasz naszą miłą królowę i musisz się bić z nami. Jeżeliś prawdę mówił, to cię Pan Bóg ochroni od wszystkiego złego; a jeżeliś potwarca, to i tak musisz zginąć.

Dopiero Gniewosz pobladł okropnie, i zaczął się wymawiać i prosić żeby mu darowali. I długo się radzili, coby zrobić z tym potwarcą. Zabijać go nie chcieli, bo wiedzieli, żeby królowej był żal wielki; więc zgodzili się na to, że Gniewosz musiał pod stół wleźć, i z pod stoła odszczekał wszystko psim głosem na własną hańbę.

Ale cóż to pomogło? Jak królowa nie mogła łez onym biednym ludziom zapłacić, tak jej nie mógł już nikt powrócić tego strapienia i tych zgryzot, co jej tylko zdrowie popsuły.

Pośród takiego smutku porodziła dzieweczkę królowi, aleć po niedługim czasie zabrał Pan Bóg do siebie to dziecko. Więc już i sama Jadwiga zaczęła niknąć, niknąć, aż się też już i zobaczyła blisko śmierci. Więc rozdała połowę swojego majątku na ubogich, a połowę na tę *szkołę najwyższą*, co ją, jak już wiecie, król Kazimierz fundował; a potem w modlitwie gorącej Panu Bogu oddała swoją czystą duszę.

Dopieroż wtedy jęli płakać wszyscy biedni w Krakowie! żal był nieutulony za naszą litościwą Jadwigą. —

Mazur za wołami.

Ptasze śpiewa, bo ptasze,
Bo ma w lesie swobodę;
Dziéwcze śpiewa, bo nasze,
Bo wesołe i młode,
Bo ma liczko, jak róża,
I nie mała, nie duża.

I ja sobie zanucę,
I ja czasem wesoły;
Jeno woły zawrócę,
Wołyż moje, hej woły!
Albo ja to sierota,
Albo jaki niecnota.

Mam ja rolę i chatę,
I poszyte stodółki,
I bydełko rogate,
I dwa konie i pszczółki!
I kobietę Jagusię,
I dzieciątko malusie.

Pan Bóg łaskaw na człeka,
Grady biją z daleka;
U mnie zboże się kłosi,
Deszczyk przyjdzie, porosi,
Albo lunie jak z cewki,
Na ogrody, przysiewki.

Jak to woły się cieszą,
Kiedy jarzma nie czują!
A rogami się czeszą
A patrzą się, a żują.
Idzie słonko po niebie,
A no! woły od siebie.

Już z południa daleko,
Ludzie z miasta się wleką;
Idzie baba śród drogi,
Wiedzie krówkę za rogi.

Chłopak pędzi a krzyka,
Że aż kładą się szkapki;
Grajek wziął się do smyka,
Spuścił nogi przez drabki:
Dylu dylu od ucha,
Kto ma uszy niech słucha.

Środkiem włodarz się toczy,
Nawdział czapkę na oczy,
Zajrzał w dzbanek, nie dużo.
A nogi mu nie służą.

Ot i dzwoni już dzwonek
Na wieśniaczym kościele,
Dzięki Bogu za dzionek,
Za serdeczne wesele,
I za wszystko, co boli;
W ciężkiej pracy za siłę,
I za uśmiech w niedoli.

Już i zorza przygasa,
A no! woły, do lasa,
Na podwórko przed chatę,
Pod te sosny garbate.

T. L.

Czcij ojca i matkę

jeżeli chcesz żyć długo na ziemi, i aby ci się dobrze powodziło.

I.

Siarczyste było weselisko u Józefa Szuby. Józefowi Pan Jezus szczęścił; wszystkiego było dostatkiem i w polu, i w obotrze, i w pasiece; toć nie szczędził niczego dla miłych kumów swachów, co się zeszli na wesele. I jakże było szczędzić, kiedy przecie żenił syna swego Antka z Rózią Marcinowy. Więc się wszyscy radowali, że aż chałupa do koła chodziła, a trzaski leciały z podłogi.

Nie miała tam Rózia wielkiego wiana, aleć za to chwacka była dziewucha i rządna, jak się patrzy. Trzeba się było jeno przyglądnąć, jak to ze swoją matusią we dwoje gospodarzyły! bo tatuś, Panie świeć nad ich duszą, dawno już pomarli. Ale choć bez chłopa, wszystko było w porządku. Najmity grunt zorały, choć i Rózia za pługiem umiała chodzić, a jak już przyszły żniwa, to się z matką prędzej krzątały niż wszyscy ludzie we wsi.

Antek także był chłop nie leniwy do roboty, ale mówili o nim ludzie, że ojcom nigdy dobrego słowa nie da, że bywało swarzył się z niemi nie raz, a to, jak Bóg na niebie, nigdy na dobre nie wyjdzie.

Ale co tam, kiedy ochota, to się o wszystkich urazach zapomina, więc owo i teraz ludzie nie pamiętali o tem. Tylko sobie Waluś, drugi syn Józefów, coś był smutny. Mały to był wyrostek, więc jeszcze nie tańcował, ale się ani nie odzywał do nikogo, tylko coś zaturbowany siedział wedle pieca.

— Do was, moja kumoszko! — ozwał się Józef przypijając do Marcinowej. — A patrzcie-no, toć to jak żeby dla siebie urośli.

I pokazał Józef palcem na Antka, co sobie z Rózią oberkta wywijał, że aż się wszyscy święci w niebie radowali.

— Oj, oj, moje robaczki! — zawołała Marcinowa, i aż jej się łzy z radości puściły.

A na boku szeptały sobie kumoszki znowu inaczej.

— Hej, kumoszko — mówiła jedna — żeby tylko Antek nie dokazywał tak z ojcami, jak dotychczas.

— Ej, bo widzicie — prawi druga — *kto się ożeni, to się odmieni.*

— Bogać ta — rzekła na to pierwsza — toć ludzie też mówią, że *czem skorupka za młodu nawre, tem i na starość trąci.*

— Ha no, widzicie, bo go tu ojcowie pieścili za młodu. Przyszło do roboty, a Antek mówi: nie pójdę! „Niech ta sobie spocznie niebożątko, boć to jeszcze słabieńkie“, mówiła matka. Przyszło do kościoła, Antek spi. „Niech ta się przespi, mówił ojciec, pójdzie na drugą niedzielę.“ A to widzicie, źle tak z dziećmi robić.

— Ba i jak! Ja im ta źle nie życzę, ale zobaczymy — rzekła kumoszka. — No, teraz napijwa się na to strapienie! —

I napiły się kumoszki na to strapienie, i dalej była uciecha, jak się patrzy.

Aleć wszystko na świecie ma swój koniec, tak się też i skończyło ono weselisko. Nareszcie ludzie się rozeszli, a potem, to już tak było jak zawsze.

Jakoś z początku spokojnie dosyć było w Józefowej zagrodzie. Chałupa była spora, więc się tam dwoje młodych na jednej stronie pomieścili, a starzy na drugiej, zaś Marcinowa siedziała z dziewką w swojej chałupince.

Jeno nie długo było tego spokoju. Nie wyszło i cztery niedziele, zaczął Antek zdziwiać różne rzeczy, i już mu wszystko było nie do składu. Ustępowali mu starzy z drogi, nie chcieli się już do niczego wdawać, aleć gdzie tam! jak nie Józefowie, to mu mały Waluś zawadzał. Czasem się Rózia ujęła za Józefami, jako że było dobre kobiecisko, to ją jeszcze za to nawyzywał; i już taki był harmider w domu, że niech Pan Bóg broni.

Trafiło się raz, że był kiermasz w mieście, więc Antek wybrał się ze żoną, a starych zostawił na gospodarstwie. Owóż cóż się dzieje. Jakoś nieszczęście chciało, że jedna z krów Antkowych poszła gdzieś na konicz, obżarła się sporo i zdęło ją jak banię.

Gwałtu! co tu robić. Pastuch zląkł się przeokropnie, przypędził krowę do zagrody, a ta jak weszła na podwórze, tak się też zaraz i obaliła. Myśleli wszyscy, że już po krowie; ale jak się stary Józef nie weźmie, przebił ją w dobrem miejscu, zasadził trąbkę z bzu, i nuż wodą zlewać, tak też i krowisko przyszło po jakiej godzinie do siebie. Już też zgoła jej nic nie było, jeno że wstać jeszcze nie mogła, aż tu trzask, prask z bata, i Antek przyjechał z kiermaszu.

Skoro tylko skoczył z wozu i zobaczył krowę na ziemi tak-ci się zaraz wziął za głowę i zawołał przeokropnym głosem,

— Gwałtu! a co mi też te stare bestyje porobiły!

— Ta co się stało, co? Krowie nic nie będzie — rzeknie stary Józef. —

— A niechże was piorun trzaśnie! To tak mi pilnujecie gospodarstwa? — zawrzeszczał Antek.

— Antek Antek, co też ty pleciesz? — zawołała żona — wolałbyś spać iść do komory, boś się coś gorzałczyskiem zalał.

— Ej, idź precz ty pałubo, bo jak cię walnę! — krzyknął Antek rozsrożony, i aże mu się oczy od złości świeciły jak u wilka.

— Oj ty bluźnierco — ozwał się tu Józef — ciebie Pan Bóg srodze kiedyś ukarze za to, że tak uczciwą żoną i starym ojcem poniewierasz!

— Ja wam tu pokażę! — zawrzeszczał Antek strasznie niby jakie zwierze, i porwał za kół wielki, co leżał na podwórzu. — Fora tu z mej chałupy!

Rózia i Waluś chwycili go za ręce, ale im się wyrwał.

— Ruszajcie sobie odemnie! ja was tu nauczę! — wołał Antek okropnie i chciał już lecieć z drągiem na ojca, aleć rzuciło nim coś o ziemię, że upadł jak długi —

Wielki był potem płacz w chałupie. Antek był z początku jak nie żywy, ale skoro mu krwi puścili, tak i przyszedł do siebie. Zaś starego Józefa taki żal okropny ścisnął za serce, że się jeszcze tej samej nocy wyprowadził z żoną do Marcinowej, i tam już u niej komornem zostali.

Wyszło ze dwie niedziele, nim się Antek podźwignął. Aleć jakiś był ponury, mało co do kogo mówił, a częściej jak przódy zaglądał do karczmy. Jakoś też i w gospodarstwie źle mu się wzięło powodzić. Grad innych obchodził a do niego zajrzał; to znowu Rózi chłopak się urodził, ale nie wybył parę niedziel na tym świecie i umarł — tak-ci ludzie zaczęli między sobą gadać, że to kara Boża ściga złego Antka.

Tymczasem Józefowie żyli sobie spokojnie z Marcinową. Ubogo tam było, ale chędogo. Waluś siedział także przy nich, lecz miarkował, że tu nie ma żyć z czego, więc się prosił, żeby mu pozwolić iść do miasta.

— A cóż ty tam będziesz robił, moje dziecko? — pytał się ojciec.

— Będę chodził do szkoły, mój tatusiu. —

— A któż ci tam będzie jeść dawał? — prawił znowu Józef.

— To ja sobie tam jakoś poradzę — odrzekł Waluś — a Pan Bóg dopomoże. Tylko mi pozwólcie mój tatusiu!

Ha no, więc puścili ojcowie Walusia do miasta, bo był bardzo zmyślny, i widać było po nim, że sobie sam da radę. I było im smutno i biedno, ale przecież nie ostatnio, bo Rózia tam niby czasem pamiętała, kiedy Antek nie widział.

Lecz co Antkowi, to się ciągle kiepsko i kiepsko wiodło. Nieraz mówili mu ludzie: Ej, Antek, pogódź się z ojcami, weź ich nazad do domu! — ale on sobie ani rzeknąć nie dał, tylko się owszem jeszcze odkazywał na nich. Więc źle i źle, i nie było końca temu złemu, a Antek jak sobie już nie mógł z czem dać rady, to do karczmy chodził.

Wybyło tak ze trzy lata; a co się przez ten czas zrobiło z Antkowego gospodarstwa, to byłby nikt nie poznał. Ze sześciu krów nie zostało się jeno dwie, a na tych tobyś był, wszystkie kości porachował; ule w pasiece stały puste; sama chałupa prawie że się waliła, a przez dziury w poszyciu zaciekało zimą i latem. Do tego jeszcze słabości nawiedzały Rózię, takoż i Antka, ale się nie chciał poprawić dla swoich ojców. Wyraźnie jak ślepy, nie widział co się z nim dzieje. Znać dobrze ludzie mówią: że *jak Pan Bóg chce kogo ukarać, to mu najprzód rozum odejmie*, boć każdy widział jasno, że to nie co innego, jeno kara Boża za poniewieranie ojców.

Stara Marcinowa zgryzła się bardzo taką złą dolą swojej Rózi, i umarła nieboga z tej zgryzoty. Józefowie pochowali ją uczciwie, i zostali się dalej na gruncie po nieboszcze i w jej chałupińce. Smutno im było bardzo, bo już nikogo nie mieli koło siebie. O Walusiu też także nic nie było słychać; wyjechał gdzieś dalej z miasta i tak już przepadł, jak kamień w wodę rzucił.

Tymczasem Antek z żydem w karczmie się naradzał, jakby tu naprawić swoje gospodarstwo.

— Albo wy to nie możecie wziąść grunt Marcinowy na siebie? — radził arendarz.

— A jakże? kiedy tam starzy siedzą — odrzekł Antek.

— A nie można ich z tamtąd wypędzić — mówił dalej arendarz.

— Kiedy widzicie, Marcinowa im to na dożywocie dała, to nie można.

— Co ty mówisz Antek! to im można proces zrobić, bo to oszukaństwo.

— Prawda, można ich prawować — zadumał się Antek. Jakoż potem ruszył do miasta oskarzyć swoich ojców, że niesłusznie na jego gruncie siedzą, choć to była nieprawda. I widzicie, niecnota tak już serce stracił, że chciał własnych ojców z ostatniej chałupy i na żebry wygonić. To też Pan Bóg nie mógł tego dopuścić, żeby się taka niesprawiedliwość stała.

Wieczorem już wracał Antek z miasta, a strasznie był ponury, bo go coś przecie gryzło w sumieniu, że bardzo źle robi. Jakoż i na świecie było pochmurno. Zbierały się ciężkie chmury na niebie, wiatr szalał jak opętany, i słychać było grzmoty z daleka. Prawie Antek doszedł do karczmy, a tu deszcz lunął jak z cebra, i zaczęło grzmieć i łyskać się na piękne.

W szynkownej izbie siedziało kilku gospodarzy, co się także przed burzą schronili.

Antek wszedł, nawet Pana Boga nie pochwalił, taki był ponury, jeno sobie kazał zaraz dać półkwaterek i siadł milczący za stołem.

— Cóż to wam Antoni, żeście tacy mrukliwi? — zagadnął jeden z gospodarzy.

— Ej nic! — odmruknął Antek pod nosem.

— Możeście nie znaleźli tego, co prośby do becyrku pisze? — zapytał arendarz.

— Ej cobym nie miał znaleźć! — mruknął znowu Antek.

— Ny, to coście tak posmutnieli? — mówił żyd — napijcie się jeszcze jeden półkwaterek.

Antek napił się jeszcze półkwaterek, obrócił się tyłem do ludzi, i już ani jednego słowa za zęby nie wypuścił. A tu coraz gorsza burza szaleje na dworze. Łyska się i łyska, a czasem słychać że i piorun uderzy, i aż się cała karczma trzęsie.

— A z kimże się Antek prawuje? — zapytał żyda jeden z gospodarzy.

— A z kimżeby się prawował, jak nie z ojcem, co na gruncie Marcinowej siedzi, a to do niego należy. —

Gospodarze spojrzeli milczkiem po sobie, i przeżegnali się od strachu, tak się mocno łysło.

— Antek! — zawołał jeden.

Ale Antek siedział jak nieżywy, tylko się do okna spoglądał, chociaż ciemno było.

— Antek! ty coś źle robisz — ozwał się drugi — nie dosyć żeś wygnał ojców od siebie, jeszcze ich prawujesz i chcesz żeby z torbami poszli.

Zerwał się na to Antek na równe nogi.

— A co wam, chamy, do tego! — zawrzasnął straszliwie — trzystaście djabłów zjedli. Ja tych starych bestyjów ani na oczy widzieć nie chcę! Niech se idą do czarta.

Ledwie to Antek ze swoich grzesznych ust wypuścił, aż ci się tu łysło przeokropnie, i taki piorun walnął, że się wszyscy, jak byli na nogi zerwali.

Jeszcze się nie opamiętali z przestrachu, kiedy owo łona wielka uderzyła w okno.

— Gwałtu! pali się, pali! — i wszyscy wybiegli na pole.

Jeno stanęli na polu, patrzą się, a tu Antkowej zagrody nie widać, tylko ogień na tem miejscu.

— Pali się, pali, Antkowe obejście! — zawołało po całej wsi i ludzie biegli zewsząd na ratunek.

Ale gdzie tam uratować! Deszcz jak na zakaz przestał, a za to wiatr się zerwał ogromny, więc ogień coraz sroższy obejmował wszystko, że już i ratunku nie było. Ledwie że Rózia mogła uciec żywo i jednę krowinę wypędzili, i tyle wszystkiego; reszty już nawet ludzie nie rozrywali, jeno bronili pobliskich chałup, żeby się co więcej nie zajęło.

— A gdzież Antek? — zawołał ktoś z gromady, kiedy już z pierwszego strachu ochłonęli.

— Bóg-że tam raczy wiedzieć — ozwał się jeden z gospodarzy, co w karczmie z Antkiem siedzieli. — Widziałem go jak tu przyleciał, stanął niby przymurowany do ziemi, a oczy

mu stanęły, Panie odpuść, jak u konającego. Potem się zabrał i gdzieś poleciał z wiatrem.

Szukali Antka na wszystkie strony, wołali, hukali, ale gdzie tam, szczezł jak kamień w wodzie.

Co zaś było lamentu i płaczu, to i mówić nie trzeba, a Rózia się zabrała do ojców do chałupy po Marcinowej, i tam we troje zawodzili, że aż słuchać było przykro, a ludzie mówili sobie po cichu: — Ot, widzicie, kara Boża padła na Antka, że ojców nie uszanował!

Już dobrze po północy rozeszli się ludzie do domu, jeno kilku parobków jeszcze przy dogorywających belkach zostawili, a Antka jak nie było, tak nie było. Więc sobie zaczęli już różnorako myśleć, co też się z nim stało.

Na drugi dzień rychło świt wybrało się kilku rębaczy do lasa rąbać pańskie drzewo na sągi. Szli sobie polami. Pochmurno było na niebie, a wiatr taki przeokropny, że aż im poły do góry podwijało.

— Czy Pan Bóg skarał z tym wiatrem — ozwał się jeden i łapał kapelusz po zagonach.

— Pewnieć się ktoś obwiesił — ozwał się drugi, a prawie już wchodzili do lasu.

Nie zbyt jeszcze daleko uszli leśną drogą, patrzą na bok, i wszyscy jak jeden zawołali: Jezus Marya!

I byłoć się czego zląknąć, bo na drzewie nie daleko drogi wisiał Antek cały już zesiniały. Oderznęli go rębacze duchem, krzysili, tarli, ale nic nie pomogło. Więc sobie jeno rzekli ze smutkiem: Patrzajcież, jak Pan Bóg Antka ukarał! —

II.

Smutnaby to była historya, żeby się na tem skończyła. Bo znowu było płaczu srogiego dużo po Antku, choć go tam za życia mało kto lubiał. Rózia pobladła na twarzy a oczy jej mało z łzami za Antkiem nie wypłynęły, boć go bardzo kochała, chociaż był taki niepotem. Aleć, jak to mówią, czas wszystkie rany zagoi, toć po jakim roku i im się serca pogoiły, temi wszystkiemi nieszczęściami srodze poranione.

Zaczęli się we troje powoli oglądać za jakim ładem w domu i na polu, i szczęścił Pan Bóg uczciwym zabiegom, bo jakoś nabezrok dobrze się urodziło i przecie biedy nie zaznali, a nawet dostatnio było wszystkiego. Jedno jeszcze mieli zmartwienie kędy się tam Waluś niebożątko obracał, czy żyje, czy nie żyje, bo ani słychu o nim nie było.

Takiego to życia upłynęło całe trzy lata. Pan Bóg przysparzał dobytku, obrabiali najmitami i grunt po Antku i grunt po Marcinowej, i zawsze szło dobrze, tak, że się nawet i weselej u Józefów zrobiło. A czy to przyszło kogo zapomódz, to się w chałupie zawsze coś znalazło; a przyszło się składać na szkółkę, co pan budował dla wiejskich dzieci, to Józef także dał uciułanych parę cwancygierków. Przy pracy i spokoju zabrała się i Rózia jakoś do świata i do ludzi, i zaczęło się jej już nawet cnić we wdowieńskim stanie. Ani to dzieci nijakich nie było; i była z niej ni kobieta, ni dziewucha, boć jeszcze dosyć młoda. Jakoż pod jesień zaczął się do Rózi przypytywać jeden wdowiec, gospodarz uczciwy ze wsi. Widział, jako Rózia rządna i gospodarna, a on miał troje dzieci i nie miał kto chodzić koło nich. Wiedział do tego, że Rózia ma dobre serce i będzie się starać o ten drobiazg, więc nie wiele myślący wysłał w swaty do Rózi. Starzy przyjęli swatów uczciwie, a po trzech niedzielach sprawiał znowu stary Józef wesele, jako było przed ośmiu laty.

Nie byłoć ta prawda tak wesoło, jak ongi, ale przecie nikt sobie źle o niczem nie myślał, jeno wszyscy błogosławili i cieszyli się z tego małżeństwa.

— Kiedy owo tak u Józefów bawią się nie głośno ale serdecznie, otwarły się drzwi do chałupy i wszedł jakiś pan młody do izby.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — powitał po staremu, i pięknie się skłonił do okoła.

Nikt nie wiedział, kto to taki, ale wszyscy widzieli, że mu bardzo miło patrzyło z oczów. Aleć jeno go Józefowa zobaczyła, tak-ci duchem się zerwała z ławy.

— Mój Waluś, mój Waluś! — zawołała z ogromną radością i wzięła go ściskać i całować.

Boć to był ten sam Waluś, który, będzie temu z ośm lat, jak wywędrował do miasta.

Stary Józef aż zatrząsł się z radości, i wszyscy troje rozpłakali się serdecznie. Waluś całował ojcom ręce, i nie mógł się naściskać i napatrzyć; a i Rózia przypytała się też do niego.

Stali ludzie na około i przypatrywali się tej serdeczności, a nie jedna kobiecina ocierała też oczy fartuszkiem.

— A cóż ciebie tu prowadziło, moje dziecko! — ozwał się wreszcie stary Józef. — Takeś po pańsku ubrany, żebym cię był i nie poznał.

— Choć ta po pańsku ubrany, ale zawsze wasz syn i ten sam Waluś — odrzeknie im na to. — Przyjechałem ja tu do was i już nigdy nie pojadę. Wiecie pewnie, że pan postawił szkołę, więc ja tu przyjechał na nauczyciela do tej szkoły. Będę uczył wasze dzieci, moi ludzie, tak, jakoście wy mnie Józefie zawsze uczyli, żem przecie między ludźmi nie zginął i sam wyszedł na człowieka.

— Nauczyciel! patrzajcie, patrzajcie! zaczęli ludzie szeptać na około, a Waluś całował znowu ręce swym ojcom.

Dopieroż potem zaczęli mu opowiadać wszystkie rzeczy, jak się tu stało, i o grzesznym Antku i o tem, jak go Pan Bóg skarał, i zgoła o wszystkiem. Zasmucił się tem Waluś i tak się odezwał:

— Tak to zawsze bywa. Kto swoich ojców nie miłuje, i kto pamięci ojców nie czci w swojem sercu; albo kto własne gniazdo nieuczciwością kala i nie kocha swojej ziemi, na której się zrodził; tego Pan Bóg zawsze srodze ukarze. Bo nasi ojcowie są nam od Boga dani, i ta nasza ziemia, co nas wszystkich karmi niby jedna matka, jest nam od Boga dana, i Bóg chce, żebyśmy ją miłowali!

— Oj, prawda, święta prawda! — ozwali się ludzie w około.

Jakoż potem rozweseliły się wszystkim lica, nareszcie sobie i potańczyli troszeczkę, aż im do rana zeszło.

Nie ma się i co pytać, jak tam dalej było, bo Pan Bóg wszystko na dobre obrócił. Waluś został we wsi nauczycielem, wziął ojców do siebie, a Rózi dał cały grunt, co dotychczas

mieli. I żył długo i dobrze mu się powodziło na ziemi, bo czcił ojca i matkę. Matka, jako już starowinka, umarła po dwóch latach, ale stary Józef żył jeszcze parę lat.

Modlili się oni wszyscy często i gorąco za duszę grzesznego Antka, i na mszę świętą dawali na tę intencyę; a widać Pan Bóg wysłuchał ich gorące prośby, bo kiedy stary Józef umierał, to widział dzień przed śmiercią, niby na jawie, swego syna Antoniego, a spokojny był na twarzy i ręce miał złożone do modlitwy.

O ziemniakach.

Dotknął nas Pan Bóg świeżem nieszczęściem, boć się nam znowu ziemniaczki psują, a to już parę lat nie było słychać o tem. Wielkie to nieszczęście, bo ziemniak tak dla ubogiego zarobnika, jako i dla bogatego kmiecia do uczciwego pożywienia służy; a jak też ich nie stanie, to wielki skwierk po wsiach i po miastach. Opowiem wam też tutaj, jak trzeba ziemniaczki chować, żeby się nie psuły, jaki można mieć pożytek z pomarzniętych albo i nadpsutych, i jakie trzeba wybrać, da Bóg doczekać, do sadzenia na bezrok.

I. Jak się ziemniaki przechowuje przez zimę.

Bardzo źle jest chować ziemniaki po sklepach, kędy duszno i powietrze nie przewiewa, albo po dołach w ziemi wykopanych. Jeszcze się i to zdarza, że ludzie takie ziemniaki, co w mokry czas wykopane, zaraz do sklepów zesypują, a to jest niedobrze. Jeżeli ziemniaki po deszczu są wykopane, a więc i wilgotne, to trzeba je na boisku przewietrzyć, ażeby obeschły, a potem dopiero zsypywać w suche miejsce.

Najlepiej to przecie składać na zimę ziemniaczki w *kopce.* Tym końcem radzę stawiać kopce nie wielkie, a na miejscu wyniosłem, suchem i trochę spadzistem, żeby woda deszczowa dobrze ściekała; zaś jeżeli można, to najlepiej na podwórzu, boć to pod okiem, to i oglądnąć częściej można, i ustrzedz prędzej od złego człowieka. Uważajcież więc, żeby ziemniaczki dobrze

przebrać, co tylko choćby trochę nadpsute, to odrzucić, a same zdrowe osobno na zimę zachować; bo jako człowiek zepsuty drugiego popsuje, tak i ziemniak inne ziemniaki. Nie radzę także brać co maleńkie, albo co bardzo wielkie, jeno same średnie, a czelne i jędrne.

Chcesz owo usypać ziemniaki w kopiec, to ci trzeba najprzód wykopać dół na ćwierć łokcia, a jak więcej ziemniaków, to i na dwie ćwierci głęboki; ten dół wyściel-że dobrze słomą i na to syp dopiero ziemniaki, a zgartuj jak można najlepiej do góry. Potem musisz to wszystko dobrze okryć słomą, najmniej tak na ośm palców grubości, a najbardziej od dołu obścielać, żeby mróz nie doszedł. Tu dopiero obsyp dobrze ziemią, a jak ziemia sypka, to nie zawadzi pokryć ją łęcinami, mchem albo pérzem, i to obsłanie drążkami przymocować, żeby się wszystko dobrze kupy trzymało. Nie trzeba też kopców na piękne zakrywać, jeżeli jeszcze na świecie pogoda, bo to może bardzo szkodzić; tym końcem robi się niby komin u góry, czy to z żerdek, z deseczek, czy ze słomy, żeby para z kartofli miała gdzie wychodzić, i to tak trzymać długo, dopóki mrozy nie nastaną. Jak mrozy nadejdą, trzeba znowu dobrze wszystko założyć; lecz skoro tylko w zimie odwilż nastąpi, tak im gospodarzu znowu rób taki komin, żeby świeżego powietrza trochę naszło. Jeżeli zaś przyjdzie kopiec w zimie rozbierać, czy to na jadło dla siebie, czy na sprzedaż: to trzeba tak wymiarkować, żeby to nie na mróz, ale na ciepłe dnie padło. Dobrze jest wtedy cały kopiec wybrać (a radzę, żeby kopce były nie wielkie) i już w chałupie w suchem miejscu trzymać.

Jeżeli tak zrobicie, a oględnie i przezornie, to da Pan Bóg, że się wam może nie będą psuć ziemniaczki, czego wam z całego serca życzę. Jabym wam i nieba przychylił, żebyście tylko, broń Boże, biédy nie zaznali, ale cóż, kiedy nie potrafię! —

Dawne przysłowia i przypowieści.

Bez ochoty nie spore roboty; bez prace nie będą kołacze.

Lepsza cnota w błocie, niż niecnota w złocie.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**